Szkoła po sąsiedzku



Tak wyglądały kiedyś klasy w szkołach, z tablicą, liczydłem, globusem i ławkami z otworami na kałamarze. Na zdjęciu zrekonstruowana klasa w Szkole Podstawowej w Pakosławiu, fot. ilza.com.pl

Romuald Mieczkowski *(Wilno)*

Pierwszą moją nauczycielką była pani Leparska. Dojeżdżała z miasta. Starsza, korpulentna i bardzo zadbana pani. Zapamiętałem jej broszkę pokaźnych rozmiarów, pierścionki i

bransolety na rękach. I manicure na jej paznokciach, które widziałem po raz pierwszy w życiu. Nosiła duży męski zegarek – chyba złoty. To ona uczyła pierwszych tabliczek mnożenia. Czytać to już umiałem przed pójściem do szkoły. Niedaleko naszego domu, na żwirowni, popisywałem się przed starszymi kolegami, czytając im po raz kolejny pouczającą historię o Janku, co psom szył buty. Po dwóch latach mojej nauki pani Leparska przestała dojeżdżać. Zastąpił ją w 1959 roku Leonas Kurklenas, który wraz z żoną, też nauczycielką , przyjechał do Fabianiszek z głębi Litwy, by nas uczyć polskiego.

Przez cały czas istnienia szkoły była tu pani Teresa Fiodorowicz. Elegancka i bardzo piękna podobno w młodości kobieta. Mówiono, że jej narzeczony zginął w czasie wojny. Ale szczegółów nikt nie znał, tyle tylko, że był w Polskim Wojsku, w partyzantce. W tamtych czasach nie mówiono w AK. Pani Teresa długo nie mogła przeżyć śmierci ukochanego i nigdy nie wyszła za mąż, prowadziła samotny i zamknięty tryb życia. Miała w Wilnie brata, ale zażyłości między nimi nie było. Potem – szeptano – związała się z jakąś sektą. Na starość unikała ludzi: szybko przemykała od przystanku autobusowego do szkoły, gdzie na poddaszu – na salkach – od lat zamieszkiwała. Tak samo, niemal biegiem, udawała się do studni po wodę, czuła zażenowanie, kiedy ją się spotykało, nie pozwalała pomóc sobie i zanieść wiadra.

Wiele czasu poświęcała czytaniu. To ona była u nas jedyną prenumeratorką w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych takich czasopism, jak „Film” czy „Ekran”. Oczywiście, miała też „Przyjaciółkę”, a potem „Panoramę” – ale te pisma były bardziej znane, niektóre mieliśmy w domu.

Podkradaliśmy się czasem do jej czasopism. Po przeczytaniu pani Teresa składała je w stodole, która jako szkolna, nie dostała się kołchozowi. Choć była zamknięta na kłódkę, to przenikaliśmy z bratem do jej wnętrza przez liczne otwory. Czas spędzony w stodole obfitował w różne przygody. Penetrując jej zakamarki odkrywaliśmy wiele tajemnic, znajdowaliśmy tu czasem ciekawe rzeczy. Raz nawet trochę amunicji pod strzechą, którą wypróbowaliśmy w ognisku… Z czasopism pani Teresy wyrywaliśmy kartki ze słynnymi sportowcami i aktorami. Tu, w dziurawej stodole, z żurnali przebijał wielki świat.

Pani Teresa miała jeszcze jedną pasję, która graniczyła z obsesją. Lubiła czystość na szkolnym podwórku. Nie mogło tam być papierka, najmniejszej gałązeczki czy opadłego liścia, uporczywie walczyła z chwastami. Tego wymagała i od nas, co uważaliśmy za przesadę.

A ogródek był co się zowie! Upiększały go „szczepione” bzy i jaśminy, dzika róża, rosły najprzeróżniejsze kwiatki, w tym rzadkie w naszych stronach. Dróżki przy klombach były

wysypane żółtym piaskiem, znaczone kamykami i tłuczoną cegłą, pobielonymi wapnem kamykami. Musieli też uczniowie pracować w szkolnym ogródku. Każdy miał swoje indywidualne grządki, o czym świadczyła stosowna tabliczka z nazwiskiem. Prócz warzyw najpospolitszych, takich jak marchew czy buraki, rosły tam bób, fasola i groch. W szczególny zachwyt przyprawiała uczniów „czerwona kapusta" i arbuzy.

Jesienią ulubionym miejscem, gdzie się gromadzili uczniowie, była grusza, z drobnymi, ale bardzo smacznymi gruszkami. Jednakże zdobyć je było bardzo trudno – nauczyciele pozwalali zbierać owoce tylko z ziemi. Było tego niewiele – chyba, że rzuciło się w gruszę jakimś kijem, albo dobrze nią potrząsnęło. Trzeba było uważać, bo gdy zobaczył to nauczyciel, jedyny mężczyzna w szkole, to już on wtedy potrząsał uczniem.

Grusza stanowiła fragment przerzedzonego sadu. Rosły tam różne jabłonie od antonówek po rajskie jabłuszka, a także wiśnie, porzeczki, maliny i agrest. Sad, jak i budynek szkolny, przed wojną należał do brata mojego dziadka – Władysława. Jako najbardziej okazały w okolicy, sielsowiet* przeznaczył budynek właśnie na szkołę początkową. Nawet nie był to wariant najgorszy w latach, gdy oczodołami okien straszyły puste domy, zaś wywózki na Sybir, a potem w ramach tzw. repatriacji do Polski, nikogo nie dziwiły. Przez pewien czas ojciec miał pracę przy szkole – ni to stróża, ni to stolarza, taki sobie zawchoz**.

Nasz dom stał obok, więc nauki pobierałem po sąsiedzku.

– Już dzwonek, po przerwie śniadanie skończysz! – wołała matka. Wyruszałem więc przez podwórko prosto do klasy. Na górze właśnie mieszkała pani Teresa, obok niej mieszkanie przydzielono przybyłym Kurklenasom. Kiedy szkołę likwidowano, pani Teresa była w wieku emerytalnym. Jeszcze rzadziej pokazywała się „na ludziach" i jeszcze bardziej zamykała się w sobie. Dziwaczka – z politowaniem pełnym szacunku mówiono o niej. Potem chorowała, przebywała w szpitalu, aż nie wróciła na swe nigdy nieremontowane i przeciekające poddasze.

Dziadek Władysław tylko jeden raz widział swój letniskowy dom (większość czasu spędzał w mieście), oddany pod szkołę, bo tylko raz przyjechał odwiedzić Wilno. Nie ciągnęło go jakoś. Był to człowiek zasługujący oddzielnej książki. Humorystyczno-sensancyjno-dramatycznej. Niedoszły ksiądz (zaliczył dwa lata seminarium), wytrawny esteta, a nade wszystko specjalista od interesów, miał w Wilnie knajpki, niedaleko Gazowni i na Mostowej, młyn i coś tam jeszcze. Potrafił wesoło spędzać czas, lubił w przednim towarzystwie pograć w karty. Ale wiedział z kim i kiedy skończyć – więc nie przegrywał i nieźle mu się w sumie wiodło.

Potem posiadłości zabrali Sowieci, a ich właściciel trafił na Syberię. Ale i tam sobie poradził. Z Syberii udał się wprost do

Polski i osiadł w Szczecinie, w pięknej dzielnicy Pogodno. To od niego dostałem swój pierwszy w życiu wyzow*** i ze Szczecina rozpocząłem pierwszą i pełną przygód podróż dookoła Polski. Dziś dziwię się, jak mogłem objechać pół kraju – głównie autostopem – bez pieniędzy. Wtedy, bardziej niż dziś, wiedziałem, czym może nie być dla mnie Polska.

Dziadek Władysław, szczupły, wręcz drobny mężczyzna, mimo chorowitego w młodości zdrowia, w Szczecinie dożył sędziwego wieku – zmarł mając 102 lata. Miał nadzwyczajną pamięć, nigdy go nie opuszczało wyrafinowane poczucie humoru. Sensacją w latach sześćdziesiątych było zamążpójście za Amerykanina jednej z jego córek, a mojej ciotki, i odpłynięcie własnym jachtem do nowego życia za ocean.

Po latach na zdziczałym skrawku ziemi, gdzie stał dom stryjecznego dziadka, gdzie pozostały też i resztki naszego sadu – jacyś Amerykanie w ostatnich przed rozbiórką domach pytali o Mieczkowskich. Ale zastraszony lud i o przytępionej pierwszymi ciosami przez dziki kapitalizm pamięci – nie mógł doradzić, jak nas odnaleźć. Do głowy mu nie przyszło, iż wystarczyło poszukujących odesłać do byle jakiej polskiej gazety czy organizacji. Ale na taki pomysł młodsze pokolenie byłych sąsiadów nie wpadło. Może dlatego, że to byli goście właśnie z Ameryki.

Przywołując moją pierwszą szkołę, nie mogę nie wspomnieć pewnej staruszki, która wprawdzie nauczycielką nie była, ale bardzo chciała nauczyć mnie francuskiego. Pewnie dlatego mówiła do mnie wyłącznie w tym języku. Otóż w naszym domu znalazła przytułek pani Buterlinowa, z dworu w Zameczku.

Była to zasuszona staruszka, którą wypędzono ze znacjonalizowanego majątku. Miała długi zakręcony kij. Bałem się go najwięcej, ponieważ kiedy byłem niesforny, usiłowała złapać mnie zaokrąglonym końcem owego kija. Pani Buterlinowa miewała zaniki pamięci, wyruszała w nagłe wędrówki i potem trzeba było ją szukać. W czasie jednej z nich zginęła w wypadku samochodowym.

Jej życie i śmierć przywodzi na myśl obecność w naszym domostwie poczciwego psa Wilka. Był to owczarek, którego zostawili cofający się Niemcy. Jakież niezwykle mądre było to stare jednookie psisko! Doskonale rozumiał nas – kiedy, na przykład, rodzina wyruszała do krewnych – biegł pierwszy i naszczekiwał. Był to znak, że niebawem pojawią się Mieczkowscy.

Wilk również odegrał znaczną rolę w moim wychowaniu – pilnował mnie, żebym nie oddalał się za daleko. Miał swoje lata, słabo widział, nie dosłyszał. Pewnego razu został również przejechany przez samochód. Potem mieliśmy wiele psów, ale

żaden nie dorównał inteligencją i wiernością Wilkowi.

_____

* *sielsowiet* (ros.) – rada wiejska

** *zawchoz* (ros. skr.) –odpowiedzialny ds. gospodarczych

*** *wyzow* (ros.) – popularna nazwa oficjalnego zaproszenia, na podstawie którego wydawano zezwolenie na odwiedzenie

---

Klamki mojego domu



Romuald Mieczkowski

Kiedy zabrakło rodzinnego domu, przez kilka lat dzieciństwo przypominały drzewa z ojcowskiego sadu. Kiedy i ich zabrakło, wywieziono ciężarówkami wiele ziemi, znikło wzgórze, pamiętające ślady naszych stóp – znikły i ostatnie – prawda, coraz bardziej gorzkie – punkty odniesienia, w jakimś stopniu namacalne do obecności mojej rodziny w Fabianiszkach. Przerwana została ciągłość, o którą tak dbali przodkowie w ciągu wieków, powiększając swe posiadłości ziemskie, uszlachetniając je w drzewa owocowe, w przydrożne aleje lip, zasadzając dęby. Mój udział był niewielki, ale dość wyjątkowy – jodła, którą zasadziłem, przetrwała pozostałe drzewa i padła jako ostatnia.

Wileńszczyźnie nie pozwoliła historia pomnażać rodzinne dobra, pielęgnować pamięć. Rzadko w jakim, nawet zamożniejszym domu, spotkasz portret przodka. Pamięć o dziadach i pradziadach wyręczają w sposób niekompletny czasem stare, pożółkłe fotografie w kredensie, ze starych rzeczy – pamiątek niewiele. Myślę i ja – co mi pozostało po Mieczkowskich, Piotrowskich – od strony matki, nie wnikając głębiej w rodzinne odgałęzienia. Też niewiele – resztki zastawy sprzed wojny – parę talerzy, kilka sztućców srebrnych, trochę szkła, zegar, jakieś drobiazgi. Najstarszy wśród nich – złoty medalik z wizerunkiem Madonny z Dzieciątkiem i napisem: *Mon Dieu le protège us toujurs. 1833 Aug. 24,* który według rodzinnej legendy przekazał ktoś z Francji w burzliwych latach popowstaniowych.

Dotykam jednak każdego dnia lat minionych dotykiem bezpośrednim. Robią to też moje dzieci, nie zdając sobie z tego sprawy. Dzięki klamkom, które w czasie zagłady domu udało się wymontować. Rolę flagowej, strategicznej klamki, strzegącej drzwi od ulicy, pełni lekko zaokrąglony kowalski wyrób z żelaza, surowy w formie, wykwintny w swej lakoniczności. Następne drzwi, mniej masywne, bardziej dekoracyjne, przypominają drzwi z dzieciństwa od frontonu – tu najpiękniejsza, mosiężna klamka, bogata w linie i ornamenty – elegancja z czasów eklektyzmu. Kolejne drzwi mają klamki podobne, jakie były najbardziej popularne w tych stronach – solidne mosiężne, o prostych formach, bez jakichkolwiek upiększeń, zachwycające swą

wyniosłą prostotą. Siedem obustronnych klamek podobnych do siebie, ale każdy komplet inny, ze względu na ręczną robotę. Niektóre są lekko zaokrąglone, wszystkie znakomicie przetrwały czasy kolejnych państwowości. Klamki niczym czarodziejska maszyna sprawiają, żeś dotknął lat dwudziestych.

Przyznam, że aż tyle klamek o takiej sprawności w domu Mieczkowskich nie było. Część z nich pamięta losy innych krewnych w Fabianiszkach. Jedną z klamek, którą uznać by można za "księżniczkę" wśród pozostałych, a pochodzą z drzwi, prowadzących do salonu, nie udało się zastosować – potrzebowałaby ona masywnych, większych drzwi i mocnych sprężyn.

Tak oto, inna epoka została wpleciona do dzisiejszej codzienności. Klamki zachowują właściwą sobie dyskrecję, mają dla mnie ciepło dłoni przyjaciela, w słońcu potrafią ukazać swój urok w całej pełni, jaki zapamiętałem jako dziecko, usiłując złapać złote promienie, które tańczyły wokół nich.

Syberyjskim szlakiem Dargiewiczów. Część II.



Ferdynand Ruszczyc, Ziemia.

Romuald Mieczkowski

Życie w posiołku

– Żyliśmy pokutniczym życiem, tworząc jakby wyklęte pokolenie. Nikt się nie cieszył, nie śpiewaliśmy pieśni swoich, z rzadka ktoś zażartował, z rzadka gościł uśmiech na twarzach naszych. W posiołku nie było wesel, nie rodziły się dzieci, bo ludzie nie chcieli przenosić swojego nieszczęścia na potomstwo. Kwintesencją naszego istnienia było przetrwanie. Przetrwanie razem, jeśli Bóg da, bez strat, jako rodzina – powraca do wspomnień Tadeusz Dargiewicz. – Najgorzej to było na święta, człowiek zupełnie wtedy miękł, kobiety, a i mężczyźni też, wszyscy ocierali łzy. Siostra przesyłała na Boże Narodzenie opłatek. Przed oczy powracały rodzinne, nierealne teraz widoki, wizerunki krewnych. Ale jakoś trzeba było żyć – poza pracą i umęczeniem siebie wspomnieniami. Jednak o rozrywkach nikt nie myślał, a do jedynego klubu w okolicy raczej nikt z zesłańców nie chodził. Zbierali się tam Rosjanie, niektórzy tu już urodzeni, i czuli się ze sobą zupełnie dobrze. Parę razy, jako ludzie młodzi, z ciekawości poszliśmy do klubu. Zapamiętały się mi czastuszki, które składali śpiewający o nas…

Spiecpieresieleńcy narzekali, że nie ma wśród nich księdza. Prosili nawet naczalstwo, żeby im księdza z okolicy przywieść, ale przedstawiciele władzy odpowiadali, że niejednego nie zostało… Po latach potem Tadeuszowi opowiadał ksiądz-zesłaniec spod Olsztyna, jak starali się duchowni ukryć swoje powołanie. Udawali robotników, podobno specjalnie rzucali niektórzy przekleństwami, by nie wyróżniać się spośród więźniów kryminalnych, z którymi też nierzadko przebywało się razem w niektórych posielenijach czy łagrach. Zresztą w obcowaniu z władzą w „dobrym tonie" były przekleństwa…

Z braku księdza, na początku wyręczała jedna starsza pani, która odprawiała nabożeństwa majowe i inne, ale po jej śmierci nie było następców. Matka Tadeusza zabrała ze sobą książkę do nabożeństwa, więc cała rodzina miała możliwość modlenia się. Interesował się tym pewien Rosjanin, którego przodków zesłano tu jeszcze za cara, prosił przetłumaczyć niektóre modlitwy na rosyjski.

Oczywiście, władza chciała czymś innym zastąpić wiarę. Ale sowieckie święta były obce, a i w czasie ich trwania zamiast wesołości była gorycz poniewierki. Parę razy przyjeżdżało kino, takie z przenośnego generatora. Zapamiętał się film pod tytułem „Titanick", trudno sobie wyobrazić, ale do takiej głuszy[27] dotarł również bestseller z tamtych czasów „Tarzan". Były próby założenia jakiegoś kółka, teatru amatorskiego, ale nic z tego nie

wyszło.

Jeśli chodzi o „rozrywki”, to w tych stronach można było jeszcze liczyć na książkę z biblioteki, ale oczywiście, po rosyjsku. O choć niektórzy szybko nauczyli się czytać w tym języku, to nawet lektury swego oprawcy były obce. Tak samo było z nauką, całe szczęście, że w rodzinie Dargiewiczów nie było kogoś w takim wieku, żeby obowiązkowo musiał pobierać nauki w sowieckiej szkole na Syberii. A te strony były dla ludzi silnych, i biada temu, kto zachorował. Z poważniejszymi przypadkami trzeba było chorego dostarczyć do miasteczka Podgornoje. Tam lekarz, obsługujący spiecpieresielwńców, miał dużą butlę jakiegoś żółtego płynu, dawał pacjentowi pół szklaneczki tego płynu niezależnie od choroby – i już miało być dobrze! Hospitalizację stosowano przy bardzo rzadkich przypadkach. Dla chorowitych trudno było o jakieś ulgi, przede wszystkim o łatwiejszą pracę. Przez cały czas zabiegał o nią Adolf Dargiewicz, autor zdjęć syberyjskich, który słabego był zdrowia i często chorował. Ulgi, jakie udało się mu załatwić, polegały na tym, że zamiast wyrębu lasu, obsługiwał wagonik, który ciągnął motowóz, przewożący ludzi, opalał w nim burżujkę, smarował osie, żeby nie zapaliły się od ciężaru przewożonych kloców. Prawda, w wyniku przebywania w Podgorodnoje był ten plus, że mógł dokonać zakupów materiałów fotograficznych, dzięki którym zachował się dziś tak ważny przekaz z tamtych lat.

Dopiero w 1955 roku doprowadzono sieć radiową, zwaną tu toczką[28], a w Polsce potocznie „kołchoźnikiem”. Był to głośnik z regulatorem, przez który można było słuchać jednej stacji. Czas był nowosybirski, a z głośnika Dargiewiczowie usłyszeli też i uświadomili sobie, jak rzeczywiście jest „sziroka strana, maja radnaja.”[29] Tę sowiecką piosenkę nadawano każdego dnia. Jeden raz usłyszeli wypowiedź Cyrankiewicza, który mówił, że należałoby łączyć rodziny polskie, porozrzucane po świece, i wtedy pojawiła się iskierka nadziei o bardziej konkretnych kształtach – skoro ta wypowiedź dotarła aż na Syberię, coś w tym musiało być. Powrotem żyli przez cały czas. Tym bardziej, że o ucieczce raczej nikt nie myślał. Człowiek zginąłby w tajdze, a o szukaniu pomocy w innych posiołkach nie było mowy. Jak też poruszać się bez dokumentów w większych miastach, które otaczały gęsto łagry? Latem byli odcięci wodą, zimą – śniegami i mrozem.

Prawda, jednej osobie udało się zbiec. Jak to nie dziwne, 14-letniemu chłopcu z rodziny Krasowskich, pochodzącej z Podbrzezia. Chłopiec szczęśliwie dotarł do Wilna. Tadeusz Dargiewicz po latach spotkał go jako dorosłego mężczyznę w Giżycku, gdzie Krasowski z rodziną potem zamieszkał. Gdyby wiedział, że zostaną zwolnieni, chyba nie podejmowałby tego ryzykownego przedsięwzięcia. Gdyby wszyscy wiedzieli, że pozostaną zwolnieni po kilku latach, inaczej patrzyliby na swój los, inaczej odbywaliby swą katorgę, a może i na miejscowym

cmentarzyku byłoby mniej krzyży…

Ale któż to mógł przewidzieć?



Ferdynand Ruszczyc

Powrót

W 1956 roku w posiołku Lesnaja zaczęto mówić o powrotach. Po

różnych perypetiach (Adolf ubiegał się nawet o wyjazd do Moskwy w tej sprawie, ale życzliwi odradzili – taki wyjazd mógł zaszkodzić) zapadła decyzja o zwolnieniu rodziny Dargiewiczów.

Mieszane mieli uczucia, bo przestawali już wierzyć w taką ewentualność. Po pięciu latach pobytu w Syberii pogodzili się w pewnym stopniu z przeznaczeniem, ze słyszenia wiedzieli, że może być znacznie gorzej – mieli przecież chatę, krowę, wykarczowali sobie niewielką działkę, otaczali ich dobrzy sąsiedzi. Dargiewiczom poszczęściło się – wracali jako pierwsi.

Zazdroszczono im i cieszono się jednocześnie, bo skoro jedni wyjeżdżają, to i na innych przyjdzie kolej. Wśród miejscowych byli jednak tacy, którzy namawiali zostać, bo w Polsce jest… niepewnie! Władza znowuż, ale już w innym tonie, proponowała pozostać.

– Wyjeżdżając, chcieliśmy mieć jakieś dowody naszego „dobrowolnego" pobytu na Sybirze. Szczególnie uparł się nasz „inteligent" – Adolf – i zaczął kombinować, żeby nam dali jakąś bumagę[30]. Ale naczalstwo było nieugięte, miało swoje instrukcje i stanowczo odpowiadano: „Nie nado wam budiet."[31] Nasi sąsiedzi, ludzie różnych narodowości błagali: „Pamiętajcie o nas, pomóżcie i nas stąd wyciągnąć!" – wspomina Tadeusz.

Postanowili zebrać się jak najszybciej, broń Boże, żeby nie

zmieniono decyzji. Kiedy wyjeżdżali, nie było mowy o powrotach Niemców, Ukraińców czy Litwinów. Sytuacja Polaków okazała się szczęśliwsza – o nich ktoś upominał się na szczeblu państwowym – choć kraj był zniewolony, to bezpośrednio nie wchodził do sowieckiego imperium.

Zebrali się więc bardzo szybko. Tak naprawdę, to nie było czego zabierać, prócz jedzenia na drogę. Choć może zabrali ze sobą za dużo ziemniaków, to potem przydały się w długiej podróży.

Odprowadzali Dargiewiczów wszyscy. Całym posiołkiem. Jakże wzruszające były pożegnania z towarzyszami niedoli! Wyznaczano sobie, przywołując najśmielsze marzenia, miejsce spotkań, obdarowywano pamiątkami. Taki prezent, w postaci zestawu – piła produkcji niemieckiej, młotek i siekierka – dostał i Tadeusz. Od Niemca, który jako płotnik uczył go tajników stolarstwa ze specjalnością wyrobu trumien. Zestaw ten dopiero niedawno zawieruszył się gdzieś w olsztyńskim garażu Tadeusza. Na drogę dostali też wódki, bo jakże bez niej przy takiej okazji! Kiedy odjeżdżali, u pozostałych szkliły się łzami oczy.

Saniami przebyli 50 kilometrów do miasteczka Podgornoje. Był jaszcze jeden współpasażer, który udawał się do miejscowego więzienia. Nawet komendant NKWD Błochin zmiękł i zaproponował, że za poduszki da konia zamiast powolnego wołu. Zgodzili się i kiedy dotarli na miejsce, czekał na nich

kukuruźnik[32]. Razem wystartowała jeszcze jedna rodzina.

W Tomsku po raz pierwszy od lat poczuli się ludźmi. Nagła dobroć sowiecka sprawiła, że obdartusów odpowiednio „przyubrano". Ojciec dostał kurtkę, brat też jakieś ubranie. Po raz pierwszy wyspali się po ludzku w normalnych łóżkach, dostali posiłki, w mieście to nawet bez eskorty żołnierzy można było pójść na spacer…

Podróż do Polski trwała dwa tygodnie, jechali pociągiem osobowym, nawet z sypialnymi wygodami. Z Tomska z Polakami wyruszyły trzy wagony, po drodze doczepiano kolejne, w sumie około dziesięciu. Gdzieś w połowie drogi na wagonach wywieszono polskie sztandary. Dziwili się na stacjach ludzie, że Polska ma jeszcze swe barwy narodowe.

W wagonie konwojował – „dla porządku" – Dargiewiczów tylko jeden żołnierz. Owszem, bardzo grzeczny, wciąż pytał, czy czegoś nie potrzebują. „Niczewo nie nado nam, nie nado"[33] – odpowiadali pośpiesznie, obawiając się wciąż, że los może się odmienić, tym bardziej, że doszły słuchy, iż jedna rodzina została z sostawa[34] zdjęta. Może dlatego, że narzekali na swój los, powiedzieli za dużo? – zastanawiali się. Po drodze widzieli przecież niemało strasznych rzeczy. Na wszelki wypadek postanowili mówić jak najmniej i nie wyrażać żadnych odznak niezadowolenia i sprzeciwu.

W Polsce

Granicę przekroczyli w Terespolu. W ciągu tygodnia przebywali w punkcie rozdzielczym w Żurawicy. Niektórzy potrzebowali szpitala, byli wygłodzeni. Sybiraków traktowano bardzo serdecznie, z wyrozumiałością. Ale trzeba było gdzieś się zakotwiczyć. Dargiewiczowie wyruszyli do Olsztyna, gdzie był już jeden z braci. Niestety, po tylu przeżyciach i stratach, na jakiś kąt własny nie można było liczyć. Święta Bożego Narodzenia Anno Domini 1956 witali na wolności, u brata, który ich przygarnął. Każdy dostał po tysiąc złotych zapomogi, i to było wszystko. Choć mieli tzw. Kartę, w której zapisano, żeby pomagać przybyłym, to władze podchodziły do tych z Sybiru najczęściej z rezerwą. Zaczynali więc od zera znowu, musieli mieszkać kątem u krewnych i znajomych, szukać pracy. Ale było to jednak życie na wolności.

Zaczęli powracać i inni. Po roku wrócił kolega Tadeusza Pałabis i również zamieszkał w Olsztynie. Powroty kolejnych rodzin były utrudnione: o ile Dargiewiczowie wracali na koszt państwa, to już po nich trzeba było zarobić na opłacenie podróży. A to nie taka łatwa była sprawa w tamtych warunkach, więc dorabiali, jak tylko mogli, wymagało to często nieludzkiego wysiłku.

Różnie ułożyły się losy ich sąsiadów i znajomych z zesłania. Tacy Woronkowie, na przykład, przez lata czekali, że dzieci ich

zabiorą. Tak i nie doczekali się.

Los Mieczysława

– Dzięki Bogu, mnie los oszczędził. Choć nigdy nie byłem atletą, to zdrowie dopisywało, podobnie innym braciom. Ale nie wszystkim. Jak już opowiadałem – wyjaśnia Tadeusz, – brata Bronisława zastrzelił policjant. Najwięcej dostawało się Mieczysławowi – choć dobrze był zbudowany, wysoki. Niemcy go aresztowali w czasie wojny i chcieli wywieźć, czekali na decyzję w Rudominie. Ale jakoś udało się rodzicom temu zapobiec. Mieczysław był bardzo pracowity, prawdziwy gospodarz. Z drugiej strony – niezwykle wrażliwy. Kiedy przyjechali zabrać ostatnią krowę, tak bardzo się przejął, nie oddawał, więc enkawudziści starali się „zastraszyć" go, strzelali w jego stronę, a potem związali powrozem ręce. Kiedy zbliżały się wywózki, uciekał. Dostał silnej nerwicy, nie było żadnej możliwości leczenia. W tym czasie ktoś spalił kołchozową stodołę w Rybniszkach, gdzie były zmagazynowane narzędzia rolnicze, zabrane u miejscowej ludności. Na to Mieczysław ucieszył się i powiedział: „Czyżby przychodzi koniec na bandytów?" Coś w nim pękło, zabarykadował się w dużym domu w Baraszkach, przychodził tylko na wspólne posiłki, sposępniał. Kiedy nas w 1951 roku zabierano, stał się agresywny, mógł nawet schwycić za siekierkę… Więc sprowadzono większą siłę, Mieczysław zaczął uciekać, prawdopodobnie do siostry Anastazji, która była

mężatką i mieszkała w Solecznikach. Dogonili go akurat naprzeciwko domu pana Konopnickiego i tak zbili, że już nigdy nie odzyskał świadomości. Nawet na Sybir go nie zabrali, bo i komu taki był potrzebny? 40 lat przebywał w szpitalu dla umysłowo chorych w Nowej Wilejce. Po latach nie poznawał nikogo, nie mówił nic, gdy go odwiedzaliśmy, nawet nie brał od nas jedzenia. Zmarł samotnie w jakimś miasteczku na północnej Litwie. Nie zostaliśmy nawet powiadomieni o jego śmierci, dowiedzieliśmy się o tym dopiero w grudniu 1994 roku. Kiedyśmy napisali list do litewskiego ministerstwa, nie żył od ośmiu miesięcy. Po naradzie z bliskimi postanowiliśmy go godnie pochować i przewieźliśmy jego prochy na cmentarz na Rossie. Spoczął obok brata Bronisława – kończy gorzką opowieść Tadeusz.

Zapamiętał go jako przystojnego mężczyznę. W 1951 roku Mieczysław miał 20 lat, po małżeństwie marzył o dużej, zasobnej gospodarce.

Los najbliższych

Rodzice Tadeusza Dargiewicza zmarli w Polsce, dożywając sędziwego wieku. Zmarł też w Gdańsku brat Tadeusza Franciszek. Adolf, „fotograf sybirski" i człowiek o zacięciu artystycznym, mieszka w Białymstoku, Wilhelm – żołnierz AK, uniknął Syberii i w 1945 przyjechał do Olsztyna, siostra Maria

dostała się do Polski również w 1945 i osiadła w Gorzowie Wielkopolskim. Inna siostra – Anastazja Zieniewicz, już w czasie wojny była mężatką i to ją uratowało od wywózki. Dziś mieszka w Wilnie.

I wreszcie Tadeusz, którego opowieść w dużym skrócie próbuję utrwalić. Chciał zawsze się uczyć, ale nie sądzone mu było. Pracował jako robotnik, ślusarz, konserwator maszyn krawieckich. Nie narzeka, jest pogodnego usposobienia, bez emocji opowiada, że przez długie lata nikogo nie obchodziły ich syberyjskie losy, władza udawała, że tej tragedii nie było. Ożywia się, kiedy mówimy o działalności Związku Sybiraków, którego jest członkiem. Tak, spotykają się często. Uczestniczą w nabożeństwach, coraz częściej w pogrzebach, biorą w nich udział księża-katorżnicy. Ulgi? Drobne są. Nie płaci za telewizor, radio. Są pewne zniżki kombatanckie.

Tadeusz często myśli o Wileńszczyźnie, interesują go wieści z Litwy. Cieszy się, że jest ona wolna. To co było, nie wróci – powiada. Zresztą i z osady nic dziś nie pozostało. To miejsce porosło brzózkami. Nadzieja w przyszłości – uważa – w kontaktach nowego rodzaju między dziećmi wychodźców z Wileńszczyzny w Polsce a Polakami, którzy na niej pozostali.

Zafascynowana miastem nad Wilią jest jego córka Elżbieta, udzielająca się w Towarzystwie Miłośników Wilna i Ziemi

Wileńskiej. To dzięki niej poznałem swych krewnych. Ela posiada mnóstwo zdjęć z Wilna i okolic, zawsze przyjeżdża „głodna" wrażeń i wiedzy o tych stronach. Jest pedagogiem. Tytuł jej pracy magisterskiej, którą obroniła w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Olsztynie, brzmi: *Monografia polskiej szkoły średniej im. A. Mickiewicza w Wilnie.* W tej szkole spędziła wiele czasu, chcąc poznać potrzeby i możliwości naszego szkolnictwa. Pragnie współpracy młodego pokolenia i częstszych kontaktów wzajemnych.

***

Przedstawiłem mały tylko wycinek życia Dargiewiczów w burzliwych i okrutnych czasach terroru. Zdaję sobie sprawę, jak niepełna jest ta opowieść. Bo i czyż można ogarnąć los ludzki w czasie krótkiego spotkania? Jako „kronikarz" tych ziem, będę chciał się przyczynić, aby ocalić od zapomnienia złożone i tragiczne losy ludzi wywodzących się z Wileńszczyzny – wszak nie ma rodziny, którą by oszczędziła gehenna wojny i późniejszych „porządków".

[1] *niekrasiwoj żenszczziny* – brzydkiej kobiety (ros.).

[2] *pogołowno* – dosłownie: co do głowy, wszystkich, co do jednego (ros.)

[3] *parsiuczek* – prosiak (gwara wil.).

[4] *spiecpieresieleniec* – przesiedleniec o charakterze specjalnym (ros.).

[5] *barża* – barka (ros.).

[6] ”Matko, u nas kula kosztuje cztery kopiejki, a ty i tak tutaj zdechniesz. Za darmo.” (ros.).

[7] *Niurskij Lesozagotowitielnyj Punkt* – Niurski Punkt Skupu Drewna (ros.).

[8] *uczastok* – dcinek (ros.)

[9] *posielenije* – osiedlenie, zesłanie (ros.).

[10] *nadziratiel* – dozorca, obozowy (ros.).

[11] *bumaga* – papier, dokument (potocznie, ros.).